

Joseph Ratzinger: Trzy rozważania na Boże Narodzenie

W modlitwie nad darami w ten święty wieczór prosimy Boga o to, żebyśmy mogli z radością przyjmować wiekuiste dary, które nam daje świętowanie narodzenia Chrystusa. W ten sposób owa modlitwa ofiarowania umieszcza w centrum liturgii kościelnej i jednocześnie uświadamia nam pierwotny gest bożonarodzeniowego obdarowywania: w tę świętą noc sam Bóg raczył stać się darem dla ludzi, oddał nam samego siebie – pisał Joseph Ratzinger w książce „Jezus z Nazaretu”.

Bóg po tej stronie naszych granic

Dla teologa albo dla kaznodziei stało się dzisiaj niemal sprawą dobrego tonu myślenie o naszym konwencjonalnym sposobie świętowania Bożego Narodzenia w duchu mniej lub bardziej uszczypliwej krytyki oraz zdecydowane przeciwstawianie błogiemu zadowoleniu nasze go święta twardej rzeczywistości pierwszego Bożego Narodzenia. Słyszymy, że Boże Narodzenie uległo beznadziejnej komercjalizacji i wyrodziło się w bezsensowną krzątaninę; bożonarodzeniowa po- bożność stała się kiczem; że ze świętowania niezgłębionej tajemnicy wcielenia Boga stało się tanim romantyzmem otaczającym uroczonego chłopca o kędzierzawych włosach, połączonym z odrobiną rodzinnej sielanki i kultem mieszczańskiego zadowolenia. W ten sposób z religijności pozostał jeszcze jakiś powiew sentymentalności, której

miło się dać poruszyć raz w roku, w nocy migocących światełek, ażeby raz jeszcze pomarzyć o latach dzieciństwa, o promiennych, dawno już minionych dniach.

Krytyka ta zawiera niewątpliwie dużo słuszności, również wtedy, gdy zbyt mało myśli się o tym, że za fasadą krzątaniny i sentymentalności nie znikła bez reszty tęsknota za czymś pierwotnym i wielkim – co więcej, że ta sentymentalna oprawa często pełni też funkcję obrony, za czym kryje się wielkie i czyste uczucie, które jest tylko zbyt bojaźliwe, żeby się zdradzić spojrzeniu drugiego. Przyznajmy jednak spokojnie, że powyższa krytyka jest w dużej mierze słuszna, ale na dłuższą metę zaczyna ona wyglądać podejrzanie, ponieważ idealny obraz świąt Bożego Narodzenia i bożonarodzeniowej pobożności, który ma nam ona do zaoferowania, wydaje się zbyt odległy od możliwości jego zrealizowania. Sami krytycy wreszcie nie mogą pomijać uwarunkowań naszych czasów i nawet poczuliby się trochę zubożeni i zmarginalizować, gdyby im się to nieoczekiwanie udało. Przychodzi więc na myśl potrzeba szukania innej drogi prowadzącej do znalezienia jakiejś rozsądnej idei Bożego Narodzenia. Należałoby też chyba uważnie przyjrzeć się głównym punktom krytyki i znaleźć przy tym zdrowy rdzeń krytykowanej rzeczywistości, pierwotnego zamierzenia i sensu, który przecież także musi się za nią ukrywać, i który z czasem stał się punktem wyjścia przesady i nadużyć. W ten sposób, niejako w obrębie naszych granic, w całości owej rzeczywistości, która teraz jest nasza, znaleźlibyśmy przesłankę sensownego rozumienia tych dni i nie musielibyśmy od razu wchodzić we wspaniałe, ale zbyt nam obce sfery owej duchowości, w której słusznie domyślamy się obecności źródeł bardziej pierwotnej i czystej pobożności.

*W modlitwie nad darami w
ten święty wieczór prosimy
Boga o to, żebyśmy mogli z
radością przyjmować
wiekuiste dary, które nam daje
świętowanie narodzenia
Chrystusa*

Wyjdźmy więc od
faktu komercjalizacji
naszych świąt
Bożego Narodzenia.
Czy za gorączkową
krzątanią, która
słusznie budzi w nas
niechęć oraz – jako
pamiątka cichej
tajemnicy Betlejem,

tajemnicy Boga, który stał się dla nas żebrakiem (2 Kor 8,9) – jest w najwyższym stopniu niestosowna; czy za nim nie kryje się jednak jako jego punkt wyjścia idea obdarowywania, a tym samym ta najbardziej wewnętrzna potrzeba miłości przynaglająca nas do dawania, dawania ze swego innym? A wraz z tą ideą obdarowywania, czy nie jesteśmy już w centrum tajemnicy Bożego Narodzenia? W modlitwie nad darami w ten święty wieczór prosimy Boga o to, żebyśmy mogli z radością przyjmować wiekuiste dary, które nam daje świętowanie narodzenia Chrystusa. W ten sposób owa modlitwa ofiarowania umieszcza w centrum liturgii kościelnej i jednocześnie uświadamia nam pierwotny gest bożonarodzeniowego obdarowywania: w tę świętą noc sam Bóg raczył stać się darem dla ludzi, oddał nam samego siebie. Istotnym darem bożonarodzeniowym dla ludzkości, dla historii i dla każdego z nas jest sam Jezus Chrystus. Nawet ten, kto nie wierzy w Niego jako wcielonego Boga, będzie musiał przyznać, że wewnętrznie oczyszczał On i napełniał kolejne pokolenia ludzi, oraz że – ponad wszelkimi granicami wiary i niewiary – zawsze zalicza się do wielkich bogactw ludzkości. Dlatego w każdym bożonarodzeniowym obdarowywaniu powinno się znaleźć coś z pierwotnego daru Jezusa Chrystusa, z owego

gestu miłości Boga, która ostatecznie nie mogła i nie chciała dać mniej niż samą siebie. To, czy dar jest drogi, czy tani, nie jest ważne; kto nie może wraz z nim dać części samego siebie, ten zawsze dał za mało.

Tym samym powróciliśmy znowu do naszego dziś. Czy w rzeczywistości nie próbujemy zastępować serca pieniędzmi? Wykręcić się nimi od istotnego obowiązku obdarowywania? Czy handel już dawno nie zniszczył gestu darowania czegoś? Przede wszystkim jednak, czy wtedy, gdy z perspektywy tego centrum patrzymy na nasze Boże Narodzenia, będą nam w myśli i uszach dźwięczały słowa Jezusa, który mówi: „Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? Czyż i celnicy tego nie czynią? I jeśli pozdrawiacie tylko swych braci, cóż szczególnego czynicie? Czyż i poganie tego nie czynią?” (Mt 5,46n). Bożonarodzeniowe obdarowywanie się prezentami rzeczywiście wyrodziło się w transakcję wymienną i tym samym zostało pozbawione duszy. Wprawdzie również liturgia okresu Bożego Narodzenia mówi o świętej wymianie Boga, jednak polega ona na tym, że Bóg wziął nasze człowieczeństwo, aby dać nam swoje bycie Bogiem; że wybrał naszą nicość, aby nam dać swoje wszystko. Gdybyśmy się nauczyli dostrzegać w tym swój wzorzec obdarowywania, znaczyłoby to, że szukamy naszego ludzkiego sposobu dawania i myślimy przede wszystkim o tych, od których nie można oczekiwać rewanżu.

Powróćmy jednak do zasadniczego wątku naszych rozważań, w których chcieliśmy prześledzić konwencjonalną krytykę naszego świętowania Bożego Narodzenia, po to by z kolei ją samą krytycznie zweryfikować. Powiedziano tam następnie, że w świadomości dzisiejszego człowieka pobożnego Boże Narodzenie zostało pozbawione swych wielkich treści i sprowadzone do romantycznej atmosfery wokół Dzieciątka Bożego. Znowu trzeba tu dodać, że taka krytyka jest zbawienna i konieczna.

Wystarczy zajrzeć tylko do tekstów liturgii bożonarodzeniowej, żeby się przekonać, jak bardzo daleka jest ona od takiej zawężonej perspektywy. We Mszy tego świętego wieczoru powtarza się jak refren śpiew Psalmu 23, który wychwala wkraczającego Jahwe jak Króla: „Bramy, podnieście swe szczyty i unieście się, prastare podwoje, aby mógł wkroczyć Król chwały" (Ps 27,7, Ofertorium). Pierwotnie Psalm ten śpiewano z pewnością przy wprowadzaniu świętej Arki do świątyni jerozolimskiej; być może należał on do liturgii bramy, w której wzywano symbolicznie bramy świątynne, żeby się otworzyły przed Królem, Bogiem.

W liturgii wydarzenie betlejemskie pojawia się jako to uroczyste wkroczenie Króla, przy czym sam świat, cały ziemski krąg, jest tą świętością, której bramy wzywa się do otwarcia się i wpuszczenia Stwórcy. Pieśń na wejście i śpiew po czytaniu nawiązują do uroczystych słów obietnicy Mojżesza, w których szemrającemu ludowi przyobiecał On cud manny na pustyni: „Tego wieczora zobaczycie, że to Pan wyprowadził was z ziemi egipskiej. A rano ujrzycie chwałę Pana” (Wj 16,6n). Tak więc Chrystus przychodzi jako rzeczywista manna, jako prawdziwie królewska, wielka i śmiała odpowiedź Boga na szemranie ludzi, dla których przygoda z Bogiem staje się zbyt niejasna i którzy woleliby wrócić do wygod zabezpieczonego życia niewolników, nieponoszących żadnej odpowiedzialności za własną przyszłość. Wreszcie śpiew po Komunii przedstawia wydarzenie betlejemskie słowami proroka Izajasza, jako blask chwały Bożej.

W rzeczy samej, tylko ta perspektywa jest odpowiednia: Wydarzenie w Betlejem nie jest wzruszającą małą idyllą rodzinną, jest to przełom obejmujący niebo i ziemię. Bóg nie jest już oddzielony od nas żelazną kurtyną niedostępnych zaświatów; przekroczył granicę, ażeby stać się jednym z nas. Odtąd w moim bliźnim spotyka On mnie samego, a

*Chrystus przychodzi jako
rzeczywista manna, jako
prawdziwie królewska, wielka
i śmiała odpowiedź Boga na
szemranie ludzi, dla których
przygoda z Bogiem staje się
zbyt niejasna i którzy woleliby
wrócić do wygod
zabezpieczonego życia
niewolników*

adoracja
zapominająca o
drugim człowieku
przechodziłaby
również obok Boga,
który przyjął ludzkie
oblicze. Właśnie
dlatego, jeśli ten
motyw przemyślimy
do końca, to
uświadomimy sobie
wtedy, że za błogą
szczęśliwością kryje
się wielka
chrześcijańska myśl

o Bogu, który stał się dzieckiem, myśl prowadząca w istocie rzeczy do samego sedna bożonarodzeniowej tajemnicy. Na tym bowiem polega paradoks, że chwała Boża chciała się ukazać nie w triumfalnym pochodzie poddającego potęgę swej władzy cesarza, lecz w ubóstwie dziecka, które – niedostrzeżone przez wielkie społeczeństwo – przyszło na świat w stajni. Bezsilność dziecka stała się wyrazem wszechmocy Boga, który nie stosuje żadnej innej władzy poza milczącą siłą prawdy i miłości. W bezbronnej bezsilności dziecka chciało się z nami spotkać najpierw zbawiające dobro Boga. I rzeczywiście: W całej arogancji światowych potęg jakże pocieszające jest ujście tego spokojnego opanowania Boga i doświadczenie w ten sposób tajemniczości owej mocy, która na koniec okaże się silniejsza niż wszystkie inne moce, i która trwać będzie dłużej niż wszystkie głośne triumfy świata. Jakąż wolność daje taka wiedza i jakież kryje się w tym człowieczeństwo!

Można by o tym wiele jeszcze myśleć i powiedzieć, chcemy jednak zastanowić się jeszcze nad ostatnią krytyką dzisiejszej formy świętowania Bożego Narodzenia: nad sprowadzaniem religijności do pięknego, ale nic niemówiącego uczucia. I znowu: Niestety, aż nazbyt prawdziwy jest fakt, że dla wielu religijność uległa zredukowaniu do nastroju, za którym nie kryje się już żadna rzeczywistość, ponieważ znikła wiara, z której niegdyś to uczucie się rodziło. Jednakże pod nie jednym względem o wiele bardziej nawet niebezpieczna jest sytuacja tych, którzy uważają siebie za wierzących, lecz religijność ograniczają tak samo do sfery uczucia i nie dają jej w ogóle dostępu do swego codziennego życia, gdzie doświadczają jej wyłącznie pod kątem jej użyteczności. Jasne jest, że taka postawa stanowi tylko karykaturę tego, czym naprawdę jest wiara; właśnie niesłychany realizm miłości Boga, o której mówi Boże Narodzenie, postępowanie Boga, który nie poprzestaje na słowach, lecz przyjmuje nędzę i ciężar ludzkiego życia, powinny nas każdego roku na nowo wzywać do zdawania sobie sprawy z realizmu naszej wiary i do porzucania sentymentalizmu pustego uczucia. Jeśli to uznamy, wtedy będziemy musieli dojść również do zaprzestania niestosownego piętnowania uczucia. We Mszy tego świętego wieczoru znowu pojawiają się słowa, które mogą nam dać wiele do myślenia. W końcowej modlitwie tej Mszy wierzący proszą Boga, żeby przez świętowanie narodzenia swego Syna pozwolił im odetchnąć. Nie mówi się tu nic bliżej, od czego i w jaki sposób chcą odetchnąć, dlatego możemy te słowa rozumieć w pełni po ludzku i po prostu, tak właśnie, jak je słyszymy. Święto powinno nam pozwolić odetchnąć. Ponieważ jednak zapełniliśmy je dzisiaj mnóstwem spraw do załatwienia, święto nie pozwala nam wytchnąć i przydusza nas całkowicie dotrzymywaniem terminów. Wtedy jednak tym bardziej mówi się nam, że święto zostało nam dane po to, ażeby zapewnić sobie trochę ciszy i radości; że piękne uczucie świętowania, które nam daje,

powinniśmy przyjąć bez obawy jako dar Boży. Może się wtedy nawet zdarzyć, że w takim odetchnieniu będziemy mogli poczuć coś z tchnienia Bożej miłości i świętego pokoju, które przynosi nam w darze święte Boże Narodzenie. Dlatego także tych, którzy uważają, że nie potrafią już wierzyć, nie powinniśmy pozbawiać uczucia, które im pozostało może jako ostatnie już echo ich wiary i które pozwala im mieć udział w owym odetchnieniu Świętej Nocy, przez które przechodzi tchnienie Bożego pokoju. Powinniśmy raczej być wdzięczni za to, że pozostała im jeszcze ta ostatnia cząstka bożonarodzeniowego daru Boga i próbować z nimi wszystkimi obchodzić to błogosławione święto Bożego Narodzenia.

Światło w ciemności

W nocy, kiedy narodził się Jezus, nad betlejemskimi polami – zgodnie z relacją ewangelisty Łukasza (2,14) – rozlegał się śpiew aniołów: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom Bożego upodobania”. W relacji tej Łukasz zupełnie świadomie występuje przeciwko politycznej filozofii cesarstwa rzymskiego, która wyrażała się, gdy cesarz August swe panowanie umieścił pod dewizą „pokój na ziemi” i pozwolił Wergiliuszowi wielbić siebie jako „Syna Bożego i posłańca złotej ery czasów ostatecznych”. Ewangelista chce powiedzieć, że zbawienie świata nie przychodzi w końcu przez potęgę rzymskiego oręża, lecz od bezsilnej w ziemskim rozumieniu miłości Boga, która ukazała się w betlejemskim Dziecku. Dzisiaj, dwa tysiące lat później, obydwie obietnice działają na nas prawie jak ironia: cesarstwo rzymskie nie potrafiło rzeczywiście zapewnić trwałego pokoju, lecz mogło trwać jedynie za cenę coraz nowych wojennych konfliktów, aż w końcu pod naciskiem większych potęg samo się rozpadło. Jednakże – i to dręczy nas o wiele bardziej – także wiara Jezusa Chrystusa nie była

oczywiście w stanie dać światu pokoju. Sama ona stała się powodem ciągle nowych zatargów i krwawych walk; świat pochrześcijański, w którym dziś żyjemy, nie tylko znajduje się w niebezpieczeństwie unicestwienia, przewyższającego swą grozą wszystko wcześniejsze, lecz wciąż na nowo i na nowy sposób przeżywa niepokój ludzkiej egzystencji, jak nieuniknione przekleństwo, na przekór wszelkim wysiłkom na rzecz pokoju. Wspaniałe obietnice Bożego Narodzenia przybierają w ten sposób osobliwie melancholijny ton. Wydaje się, że „zbawienia świata”, o którym nam mówią, nigdzie nie można znaleźć. Jedna część ludzkości cierpi z powodu głodu i zimna, jęczy z powodu społecznej nierówności i braku elementarnych warunków egzystencji godnej człowieka dla coraz większej masy wyzutych z praw i zapomnianych, których obrazy nas niepokoją, a przy tym nie wiemy, w jaki sposób moglibyśmy im okazać skuteczną pomoc. Druga część żyje w przepychu i jest on dla nich biczem – nie tylko dlatego, że musimy niszczyć to, czego innym brakuje z powodu jakiegoś dziwnego przymusu praw ekonomii, które zdają się ujarzmić człowieka bez jego woli. Nie, to samo bogactwo gnębi człowieka, sprawia, że życie, które ono pozornie zapełnia, jest dla niego nieznośnie puste. Wszystko już było, wszystkiego zakosztował, i wszystkiego jest jednak zbyt mało, żeby dać pokój. Żeby się spełnić. Przeciwnie, pozostaje wstręt, świadomość, że zawsze można tylko ponieść porażkę. Ten, kto znajdzie już wszystko, czego chce, czuje się na swój sposób dokładnie tak samo manipulowany, wyzyskiwany, wyszydzany jak ten, któremu wszystkiego się odmawia. Bywają rewolucje przeciwko nędzy, ale bywają także rewolucje w wyniku zniewolenia bogactwem i konsumpcją; przesycony i głodujący spotykają się ze sobą w dziwnej wspólnocie braku pokoju.

W tej sytuacji chrześcijaninowi z trudem tylko i z oporami ciśnie się na usta orędzie Bożego Narodzenia. Czy głodującym, których losu ono nie zmienia, nie jawi się ono jako szyderstwo ze strony posiadających,

którym łatwo o tym mówić? Czy nie jest ono rzeczywiście pustą pociechą, unikiem, za którym kryje się nieczyste, chcące się w ten sposób uspokoić sumienie? I czy u posiadających nie jest pustym sentymentalizmem, za pomocą którego w wyrafinowani, sposób chcą wyczarować trochę sakralnego blasku w swym świec kim życiu, mimo iż sacrum od dawna już przestało dla nich być czymś realnym? Czy wobec tego nie należałoby odrzucić pobożnych słów i postawić wszystko na działanie przemieniające świat? A może jednak Dziecię z Betlejem, mimo iż nie sprawuje bezpośrednio żadnej ziemskiej władzy, to dla nas poważna sprawa? Chrześcijaństwu angażującemu się na sposób zbyt ziemski Reinhard Raffalt postawił pytanie, które powinno nam dać dużo do myślenia: „Czy uciemieźony, wyszydzany i wyzyskiwany człowiek nie chce w gruncie rzeczy dokładnie tego samego, co jego zniszczony komfortem, seksem i narkotykami brat – a mianowicie móc wierzyć?”

*Dlaczego właściwie
świętujemy Boże Narodzenie,
dlaczego mamy odwagę je
obchodzić pomimo nędzy,
braku pokoju i samotności,
które pozostały człowiekowi, i
raczej się potęgują, niż
redukują?*

Takie pytanie powinno nas przynajmniej skłonić do poważnego zastanowienia się ponownie, dlaczego właściwie świętujemy Boże Narodzenie, dlaczego mamy odwagę je obchodzić pomimo nędzy, braku pokoju i

samotności, które pozostały człowiekowi, i raczej się potęgują, niż redukują. Co stanowi właściwą treść Bożego Narodzenia? Na to pytanie można by najpierw odpowiedzieć w sposób bardzo ludzki, daleki

jeszcze od przedśmionka wiary, i powiedzieć: Jest to narodzenie człowieka, Jezusa z Nazaretu, który człowieczeństwo przeżył w sposób czysty, jako bycie dla drugiego, i który czystość swej egzystencji, swych słów i swojej służby przypieczętował śmiercią za innych. Kiedy to wypowiemy, to wtedy ciśnie się na usta pytanie: Czy taki człowiek nie musi mimo całej mroczności istoty człowieka być jasnym światłem budzącym nadzieję? Nadzieję, że sytuacja człowieka nie może być tak zupełnie bez wyjścia; nadzieję, że siły tego, co czyste i zdrowe, mogą się w nim okazać skuteczne. Taka nadzieja dodaje odwagi, by odważyć się na słowo i drogę tego Człowieka; jeśli nie potrafimy już usunąć ciemności, to podobnie jak On możemy na drodze historii stawiać znaki nadziei. Znaki nadziei, które łączą się ze sobą w niejako jeden łańcuch światła, i są wyspami pokoju, zrozumienia i odetchnienia pośród niehumanicznego porządku prawnego rozwoju. I czy nie jest pocieszające widzieć, jak na przekór całemu niezrozumieniu jednak słuchano Jego orędzia? Nie rodziło ono samych sporów, ale także, a nawet częściej, cud zrozumienia, tak że w różnych czasach i kulturach, a nawet poprzez granice różnych religii ludzie odnajdują się w tym Imieniu. Wszędzie tam, gdzie pojawi się to Imię, znika dystans i pojawia się bliskość. Czy to wszystko nic nie znaczy? Czy mamy odrzucić to małe światło, ponieważ chcemy tylko wielkiego?

Wiara ma odwagę powiedzieć jednak coś więcej i coś głębszego. Ten człowiek, który jawi się w historii jak ciche światło pokoju i pojednania i poprzez wieki świeci nawet do więzień i dzielnic nędzy; ten Człowiek jest jednocześnie przyjściem Boga na nasz świat. Jest światłem ze światłości, Synem Bożym i samym Bogiem. Bóg jest taki jak Jezus. Bóg jest taki, że może się stać dzieckiem i nim się stał; jest taki, że mógł cierpieć i kochać jak człowiek pośród ludzi. Ponieważ Jego światła takiego, jakim ono naprawdę jest, nie mogliśmy widzieć naszymi słabymi oczami, pokazał to nam w świetle człowieka, które jest jednak

prawdziwie Jego światłem, jako światło przeznaczone dla nas. Wszystko, co przedtem powiedzieliśmy z czysto ludzkiego punktu widzenia, pozostaje nadal prawdziwe, jednak w kontekście wiary otrzymuje nową i prawdziwie zbawienną głębię. Bowiem na przekór wszystkim naszym wątpliwościom i błędom Boże Narodzenie mówi: Bóg istnieje. Niejako nieskocznie odległa moc, która może w nas co najwyżej budzić grozę; nie jako głęboka podstawa bytowania, która o sobie nie wie. Jest taki, że potrafi się o nas troszczyć, oraz że wszystko, czym jesteśmy i co czynimy, jest objęte Jego spojrzeniem – spojrzeniem pełnym miłości. Kto przyjmuje to wiarą i wie z wiary, dla tego nie ma już absolutnej samotności. On jest obecny. Światło, którym człowiek stał się w historii i dla historii, nie jest bezsilnym przypadkiem, lecz jest światłem ze światła. Nadzieja i odwaga wychodzące z tego światła otrzymują przez to zupełnie inną głębię. Ale właśnie dlatego, że jest to prawdziwie Boska nadzieja, możemy i powinniśmy ją przyjąć i nieść ją dalej jako nadzieję całkowicie ludzką.

Z tej perspektywy świętowanie Bożego Narodzenia oznacza przyjęcie tego święta, którego nie ustanowiliśmy my sami, ale które otrzymaliśmy w darze od Boga. To w zasadniczy sposób odróżnia święta kościelne od zwykłego wolnego czasu, od wszelkiej organizowanej przez nas samej rozrywki. Rzeczywistość Bożego Narodzenia jest obecna także wtedy, gdy sami jej nie dostrzegamy, gdy sami jej nie szukamy. Jest ono nam dane raz na zawsze w narodzeniu dziecka, w którym Bóg zechciał się stać jednym z nas. W Boże Narodzenie jeszcze przed wszelkimi naszymi darami jesteśmy już wcześniej obdarowani. Odkupieńczy wymiar takiego dnia, jeśli jest należycie rozumiany, opiera się na tym, że jest nam dawane coś, czego nikt z nas nie zdołałby sam dokonać ani wymyślić, i wiemy, że już wcześniej ktoś o nas pomyślał, a my mamy tylko wejść w to otwarte światło święta, które na nas czeka i nas upewnia, że krąg naszych czynów nie jest jedyną

istniejącą rzeczywistością. Nie lękajmy się więc pogodzenia się z tym. Nie lękajmy się otwarcia na nieskrępowaną niczym radość i przekazywania dalej tego, czego ludzkość wcześniej już potrzebowała i czego nadal potrzebuje bardziej niż czegokolwiek innego; wewnętrznej radości, która daje wolność i zbawienie, a wszystkim innym darom zapewnia należyty sens oraz ich właściwy kontekst

Chrystus, Zbawca, jest tu

Bożonarodzeniowe światełka znowu rozbłysły nad naszymi ulicami, bożonarodzeniowa bieganina jest w pełnym toku. Na chwilę także Kościół może sobie pozwolić na uczestnictwo w tej niejako wyższej koniunkturze, kiedy w tę świętą noc domy Boże wypełniają ludzie, których potem znowu przez długi czas będzie można widzieć przechodzących przed portalami kościołów jak przed czymś dalekim i obcym, czymś, co ich nie dotyczy. Tej jednak nocy mogłoby się przez chwilę wydawać, że świat i Kościół są ze sobą pojednane. Jest przecież tak pięknie! Światła, woń kadzideł, muzyka, widok ludzi, którzy jeszcze potrafią wierzyć, a wreszcie to tajemnicze starodawne orędzie o Dzieciątku, które kiedyś narodziło się w Betlejem i które jest nazywane Odkupicielem świata: „Chrystus, Zbawca jest tu!” To nas porusza – a jednak słyszane przy tym pojęcia: odkupienie, grzech, zbawienie – dźwięczą jak słowa z minionego świata; być może był on nawet piękny, ten świat, ale to nie jest już nasz świat. A może jednak? Świat, w którym powstało święto Bożego Narodzenia owładnęło przeczucie bardzo podobne do naszego dzisiaj. Był to świat, w którym „zierzch bogów” nie był pustym hasłem, lecz realnym wydarzeniem. Dawni bogowie stali się naraz nierealni – już ich nie było, człowiek nie potrafił już wierzyć w to, co życiu kolejnych pokoleń nadawało sens i oparcie. Człowiek nie może jednak żyć bez sensu, potrzebuje go jak codziennego

chleba. Dlatego też po wygaśnięciu dawnych gwiazd musiał się rozejrzeć za nowymi. Ale gdzie one były? Wyjście z tej sytuacji wielu ludziom dawał kult „niezwycięzonego światła”, słońca, które każdego dnia okrąża ziemię, pewne zwycięstwa i silne – niczym widzialny bóg tego świata. Dzień 25 grudnia, pośród dni zimowego przesilenia, trzeba było obchodzić jako każdego roku nowe narodziny światła – mimo powtarzających się zachodów słońca – wyraziste potwierdzenie tego, że we wszystkich zachodach przemijających światła światło i nadzieja świata nigdy nie gasną; że ze wszystkich zachodów prowadzi droga do nowego początku.

Liturgie religii słońca zręcznie przywłaszczyły sobie dla swoich celów pierwotny lęk i pierwotną nadzieję człowieka. Człowiek pierwotny, który niegdyś w wydłużających się nocach jesieni i wobec malejącej siły słońca przeżywał nadchodzenie zimy, pełen trwogi pytał za każdym razem na nowo: Czy to złote słońce teraz rzeczywiście umiera? Czy powróci? Czy też może zostanie pokonane przez złe moce ciemności – kiedyś, w tym albo w następnym roku, i nigdy już nie powróci? Świadomość tego, że każdego roku nadchodzi zimowe przesilenie, umocniła wreszcie pewność jego ponownego zwycięstwa, jego zawsze pewnego powrotu. Jest to święto, w którym streszcza się nadzieja, a wręcz pewność niezniszczalności światła tego świata. Ten czas, w którym rzymscy cesarze za pomocą kultu niezwycięzonego słońca usiłowali swym poddanym dać nową wiarę, nową nadzieję i nowy sens w sytuacji niepowstrzymanej regresji dawnych bogów, zbiega się z czasem, w którym wiara chrześcijańska próbowała zdobyć serce greckorzymskich ludzi. W kulcie słońca znajdowała swego najgroźniejszego przeciwnika. Zbyt widoczny był bowiem ten znak dla oczu ludzi, o wiele bardziej widoczny i pociągający niż znak krzyża, z którym przychodzili

chrześcijańscy głosiciele. Mimo to jednak ich wiara, ich niewidoczne światło odniosły zwycięstwo nad widzialnym orędnem, za pomocą którego próbowano utrzymać stare pogaństwo.

*Wiara chrześcijańska w kulcie
słońca znajdowała swego
najgroźniejszego przeciwnika.
Zbyt widoczny był bowiem ten
znak dla oczu ludzi, o wiele
bardziej widoczny i
pociągający niż znak krzyża, z
którym przychodzili
chrześcijańscy głosiciele*

Chrześcijanie bardzo
szybko
przywłaszczyli sobie
datę 25 grudnia,
dzień narodzin
niezwycięzonego
Światła i świętowali
go jako dzień
narodzin Chrystusa,
w którym znaleźli
prawdziwe światło
świata. Mówili
poganom: Słońce

jest dobre i jego powtarzającym się ciągle zwycięstwem cieszymy się nie mniej niż wy. Samo z siebie nie ma ono jednak żadnej mocy. Może istnieć i ma moc tylko dlatego, że Bóg je stworzył. Mówi nam więc o rzeczywistym Świetle, o Bogu. A świętować trzeba prawdziwego Boga, praźródło wszelkiego światła, a nie Jego dzieło, które bez Niego byłoby bezsilne. Ale to jeszcze nie wszystko, a wręcz nie to jest najważniejsze. Albowiem może nie zauważyliście jeszcze tego, że istnieje ciemność i zimno, wobec których słońce jest bezsilne? Ciemność i zimno wypływające z ogarniętego ciemnością serca człowieka: nienawiść, niesprawiedliwość, cyniczne nadużywanie prawdy, okrucieństwo i zhańbienie człowieka. W tym miejscu czujemy naraz, jak irytująco obecne jest to wszystko, jak dialog chrześcijanina z rzymskim czcicielem słońca jest jednocześnie dialogiem dzisiejszego wierzącego z jego niewierzącym bratem, nieustannym dialogiem wiary ze światem.

Pierwotny lęk, że słońce może któregoś dnia umrzeć, już od dawna nas nie porusza. Takie lęki fizyka wygasła śmiałym tchnieniem swych jasnych formuł. Pierwotny lęk odszedł w przeszłość, ale czy lęk definitywnie znikł? A może człowiek nadal jest istotą załęczoną, tak bardzo że dzisiejsza filozofia lęk nazywa wręcz „podstawowym egzystencjałem” człowieka? Który okres w dziejach ludzkości odczuwał bardziej lęk przed swą własną przyszłością niż nasz? Być może dzisiejszy człowiek tak kurczowo trzyma się terażniejszości, ponieważ nie ma odwagi spojrzeć w oczy przyszłości i samo pomyślenie o niej wywołuje w nim straszne skojarzenia. Powtórzmy: dzisiaj nie boimy się, że słońce mogłoby zostać pokonane przez ciemność i więcej nie wrócić. Boimy się ciemności, która dobywa się z człowieka i w ten sposób dopiero teraz odkryliśmy prawdziwą ciemność – straszliwszą w tym nieludzkim stuleciu niż mogły sobie w ogóle wyobrazić poprzednie pokolenia. Boimy się, że dobro w świecie staje się całkowicie bezsilne; że powoli nie będzie już miało sensu kierowanie się prawdą, czystością, sprawiedliwością i miłością, ponieważ teraz na świecie panuje prawo silniejszych łokci, ponieważ bieg świata przyznaje rację nie świętym, lecz osobom brutalnym, bez zahamowań. Przecież widzimy, że panują pieniądze, bomba atomowa, cynizm tych, dla których nic nie jest święte. Jak często przyłapujemy się na obawie, że na splątanych drogach tego świata nie istnieje ostatecznie żaden sens, że dzieje świata rozróżniają w końcu tylko głupich i silnych... Powszechnie panuje poczucie, że mroczne siły są coraz większe, a dobro jest bezsilne; gdy patrzymy na ten świat, ogarnia nas mniej więcej to samo poczucie, które niegdyś musieli mieć ludzie, kiedy jesienią i zimą słońce zdawało się toczyć walkę na śmierć i życie. Czy zwycięży? Czy dobro zachowa w świecie sens i siłę? W stajni betlejemskiej został nam dany znak, który pozwala nam dać radosną odpowiedź: Tak! Ponieważ to Dziecię, Jednorodzony Syn Boga, jest dany jako znak i rękojmia tego, że ostatecznie do Boga będzie należało ostatnie słowo w dziejach świata – do Niego, gdyż w Nim jest prawda i miłość. To jest rzeczywisty sens Bożego Narodzenia:

jest to „dzień narodzin niezwyciężonego Światła”, zimowe przesilenie dziejów świata, które we wszystkich wzlotach i upadkach tych dziejów daje pewność, że również tutaj światło nie umrze, lecz niesie już definitywne zwycięstwo. Boże Narodzenie usuwa z nas drugi, większy lęk, którego nie potrafi usunąć żadna fizyka: lęk o człowieka i przed samym człowiekiem. Jest ono dla nas Bożą pewnością, że światło już zwyciężyło w tajemnych głębinach historii oraz że największy nawet rozwój zła w świecie nie potrafi niczego tu zmienić. Zimowe przesilenie historii dokonało się nieodwołalnie w narodzinach betlejemskiego Dziecka.

Coś jednak zapewne zwraca uwagę w tych narodzinach światła, w tym przyjściu Dobra na świat, coś, co zawsze mogłoby nas napełniać trwożną niepewnością: czy ta doniosłość, o której mówimy, rzeczywiście wydarzyła się tam, w stajni betlejemskiej? Słońce jest wielkie, wspaniałe i potężne; nikt nie może przeoczyć jego corocznego zwycięskiego pochod. Czyjego Stwórcy nie powinien być w swoim przyjściu okazać się potężniejszy, jeszcze bardziej rozpoznawalny? Czy ten rzeczywisty wschód słońca historii nie powinien był swoim niewymownym blaskiem zalać oblicza ziemi? Zamiast tego... Jakże mizerne jest to wszystko, o czym czytamy w Ewangelii! A może właśnie ta mizerność, ta ziemską maleńkość miała być znakiem Stwórcy, którym podkreśla On swe przyjście? Na pierwszy rzut oka wydaje się to myśl niepojęta. A jednak – kto prześledzi tajemnicę Bożego prowadzenia ukazaną w pismach Starego i Nowego Przymierza, dostrzeże coraz wyraźniej, że jest w niej widoczny podwójny znak Boży. Najpierw jest znak stworzenia, który przez swą wielkość i wspaniałość pozwala przeczuwać obecność Tego, który jest jeszcze większy i wspanialszy. Jednak oprócz tego znaku coraz -wyraźniej pojawia się jeszcze inny, znak Kogoś ziemsko małego, przez który Bóg ukazuje siebie jako całkowicie innego niż świat, ażeby nam pokazać, że nie

można Go mierzyć w skali tego świata, że jest On poza wszelkimi kategoriami wielkości. Tę osobliwą rozbieżność obydwu znaków, przez które Bóg daje o sobie świadectwo, oraz naturę drugiego znaku, znaku uniżenia, najlepiej chyba można zrozumieć przez ukazanie przeciwstawienia mesjańskiego kazania Jana Chrzciciela i mesjańskiej rzeczywistości samego Jezusa. Jan opisywał Tego, który nadchodzi w kategoriach wielkości Starego Testamentu, jako Tego, który przyłoży siekiere do korzeni ludzkości, jako Sędziego pełnego świętego gniewu i Bożej władzy. Jakże inaczej wyglądał On, kiedy przyszedł! Jest to Mesjasz, który nie woła i nie podnosi głosu na ulicach, który nie złamie nadłamanej trzciny i nie zgasi tłącego się knota (Iz 42,2n). Jan wiedział, że będzie On większy od niego, ale nie znał rodzaju Jego wielkości: polega ona na pokorze, miłości, krzyżu. Na wartościach ukrycia, ciszy, które Jezus wprowadził na świat jako coś większego i największego. Tego, co prawdziwie wielkie, nie mierzy się ostatecznie w skali fizycznej, lecz tym, co jest dla niej niewymierne. To, co wielkie w skali fizycznej, stanowi tak naprawdę dopiero prowizoryczną formę wielkości. Prawdziwe i najwyższe wartości pojawiają się na tym świecie pod znakiem uniżenia, ukrycia, ciszy. Tym, co rzeczywiście wielkie w świecie, tym, od czego zależą jego los i historia, jest to, co naszym oczom wydaje się małe. W Betlejem Bóg, który na swój lud wybrał mały, zapomniany lud Izraela, znakiem swej obecności w świecie definitywnie uczynił znak maleńkości. Istotną treść tej świętej nocy jest wiara, że przyjmujemy Go w tym znaku i ufamy Mu bez szemrania. Przyjęcie Go oznacza podporządkowanie się temu znakowi, prawdzie i miłości, które są najwyższymi, a wręcz boskimi wartościami, a jednocześnie najbardziej zapomnianymi, cichymi.

Proszę mi pozwolić, że na koniec opowiem jeszcze pewną historię z mitologii hinduskiej, która tę tajemnicę tego, co na sposób Boży małe, przeczuła jako zdumiewająco wielką. W jednym z mitów mówiących o

postaci Wiszny czytamy, że bogowie zostali pokonani przez demonów i musieli się przyglądać, jak ci dzielili między siebie świat. Wtedy wymyślili pewne wyjście. Poprosili demonów, żeby im dali tylko tyle ładu, żeby można było nim przykryć małe ciało Wiszny, który był karłem. Demony się na to zgodziły. Jednego tylko nie wiedziały. Wiszna, karzełek, był ofiarą, która przenika cały świat i w konsekwencji bogowie odzyskali świat. Gdy słyszy się coś takiego, brzmi to jak sen, który w niejasnej perspektywie marzenia przybiera postać czegoś realnego. Mała rzeczywistość ofiary, zastępczej miłości, jest tym, co na koniec okazuje się silniejsze niż cała władza mocnych, i co swoją bezradną małością w końcu przenika i przemienia cały świat. W Dzieciątku z Betlejem ta niezwykła moc miłości Bożej wkroczyła w ten świat. To Dziecko jest jedyną realną nadzieją świata. My jednak jesteśmy powołani do zaryzykowania przyjęcia Go, do powierzenia się Bogu, którego znakiem stało się to, co małe i nieznaczące. Jednak nasze serce powinno być tej nocy wypełnione wielką radością, bo wbrew wszelkim pozorom jest i będzie prawdą to, że Chrystus, Zbawca, jest tu.

Joseph Ratzinger

Fragment książki *Jezus z Nazaretu*



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego